

Nareszcie moja

Miasteczko Benevolence

BESTSELLEROWA AUTORKA AMAZON

LUCY SCORE

Tytuł oryginału: Finally Mine: A Small Town Love Story (Benevolence #2)

Tłumaczenie: Marta Czub

Korekta: Katarzyna Solecka, Marysia Bernaciak

ISBN: 978-83-283-8751-5

Copyright © 2018 Lucy Score

Published by arrangement with Bookcase Literary Agency and Booklab Agency.

Polish edition copyright © 2022 by Helion S.A.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://editio.pl/user/opinie/narmb2>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

*Dla Andrei i każdej kobiety,
która zdecydowała się odejść albo zostać.*

ROZDZIAŁ 1

To była druga najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiła w życiu. Ale ponieważ to głupstwo miało naprawić to popełnione wcześniej, Gloria Parker postanowiła nie oceniać siebie aż tak ostro.

To było konieczne, przypomniała sobie, wyglądając przód białego T-shirta i krzywiąc się, gdy jej dłonie napotykały siniaki. Życie i śmierć. Jej własne.

Mały zardzewiały samochód został wypakowany po brzegi jej skromnym dobytkiem. Dziś nie wróci do „domu”.

— Będzie dobrze — zapewniała samą siebie, wchodząc na nieduży ganek baru. Remo był ulubionym — i jedynym — barem w Benevolence. Zbudowany z drewnianych bali, obłożony cedrowym gontem, zachęcał spragnionych klientów do wejścia. Witiał ich ręcznie malowanym szyldem i umiejscowionym po prawej stronie przytulnym patio. Okna wychodziły wyłącznie na zwirowany parking, ale do Remo nie przychodziło się po to, żeby podziwiać widoki. Przychodziło się po to, żeby pogadać z sąsiadami. Żeby napić się piwa. Spróbować pikantnych skrzydełek. Albo, jak to było w *jego* wypadku, żeby pić na umór.

Gloria miała dwadzieścia siedem lat i nigdy dotąd nie postawiła stopy w Remo. Wielu rzeczy nigdy nie robiła. Jeszcze. A działa się tak wyłącznie z jednego powodu. Dziś wszystko miało się zmienić. W końcu zacznie żyć.

Była wiosna. Wystarczająco wczesna, żeby wciąż czuć w powietrzu pojedyncze macki zimy. Wiosna oznaczała nowy początek. Nad miastem, w którym się urodziła i wychowała, zachodziło słońce. Jednocześnie miała opaść kurtyna na dziesięć zmarnowanych przez głupotę lat. Dziesięć lat bólu. Dziesięć lat historii, której się wstydziła.

Gloria przełknęła z trudem ślinę.

— Dasz radę — szepnęła. Drżącą dłonią pchnęła grube drewniane drzwi, ignorując sine obrzęki wokół nadgarstka. Stała się w tym naprawdę dobra. W ignorowaniu. W udawaniu.

Przekroczyła próg i weszła w swoją przyszłość.

„Przytulnie, a nie obskurnie”, pomyślała. Na obłożonych drewnianą boazerią ścianach wisiały tabliczki reklamujące piwo i zdjęcia ukazujące Be-nevolence na przełomie dziesięcioleci. Pod tylną ścianą znajdowała się wąska scena. Na sosnowej podłodze stały w dużej mierze puste stoliki i krzesła. Szklane drzwi po prawej prowadziły na patio, na którym przy dobrej pogodzie kwitło życie towarzyskie. Ale ona wpatrywała się wyłącznie w dużego mężczyznę pochylonego nad barem.

Glenn Diller.

Sądząc po przygarbionych ramionach, albo wyszedł wcześniej z pracy, albo znów został zwolniony z fabryki i nie uznał za stosowne jej o tym powiedzieć. Tak czy inaczej, pił od wielu godzin.

Nabrała z drzeniem powietrza w płuca i zaraz potem je wypuściła. Teraz albo nigdy. A jeśli padnie na nigdy, to tego nie przetrwa.

Barman Titus był starszym mężczyzną, ojcem jednego z kolegów z klasy. Jego syn właśnie skończył prawo w Waszyngtonie. Tymczasem Gloria tkwiła nadal tutaj, jakby czas się zatrzymał. Titus zauważył Głorię i zerknął niespokojnie na Glenna.

Wiedział. Wszyscy wiedzieli. Na tym częściowo polegał wstyd, którego, jak się obawiała, nigdy z siebie nie strząśnie. Ale musiała spróbować.

Tryskająca energią Sophie Adler tańczyła za barem, związując kruczoczarne włosy w koński ogon.

— Przepraszam za spóźnienie, Titusie. Josh znów schował mi kluczyki od samochodu w toalecie.

Titus chrząknął i sięgnął po słoik z napiwkami, nie odrywając wzroku od Glenna. Spodziewał się kłopotów.

Gloria modliła się, żeby nie miał racji.

Odchrząknęła.

— Glenn. — Jego imię zabrzmiało głośno i wyraźnie, z pewnością siebie, o którą Gloria się nie posądzała.

Odwrocił się powoli na stolku. Na barze stały przed nim pusty kieliszek po wódce i kufel piwa. Oczy miał już nabiegłe krwią.

Skoncentrował na niej wzrok i zerwał się z miejsca.

— Co ty tu, kurwa, robisz?

Gardłowe warknięcie, zapowiedź przemocy, którą w sobie niosło, latami trzymało ją w strachu. Ale nie dziś. Dziś była na nie odporna.

Chciała tego. Przypomniwała sama sobie. *Musiała to zrobić.*

Patrzyła, jak podchodzi do niej mężczyzna, w którym zakochała się, gdy miała siedemnaście lat, mężczyzna, który systematycznie odzierał ją ze wszystkiego łącznie z godnością. Alkohol i poczucie, że należało mu się coś więcej od życia, sprawiły, że wyrobione w ogólniaku mięśnie stały się wielkie i nabrzmiałe. Sprawiły, że wzrok zrobił się tępy, a skóra ziemista. Miał trzydzieści lat, a wyglądał o dziesięć lat starzej.

Glenn, powłócząc nogami, ruszył w jej stronę i zatoczył się na prawo. Pi-jany, ale w dalszym ciągu zdolny wyrządzić ogromną krzywdę. Dlatego tu byli. A nie w ich nędznej przyczepie, gdzie nikt nie zwracał uwagi na odgłosy zadawanych ciosów i krzyki.

Tutaj byli świadkowie. Tutaj byli ludzie, którzy mogli jej pomóc.

Odgrodziła się od niego pustym stolikiem, czując, jak włosy na karku stają jej dęba.

— Co ty tu, kurwa, robisz? — zapytał znów Glenn. Jego warknięcie przyciągnęło spojrzenia wszystkich zebranych w barze osób.

— Odchodzę — powiedziała cicho. — Odchodzę i już nie wrócę, a jeśli jeszcze kiedykolwiek mnie tkniesz, to pójde na policję. — Słowa poleciały z niej jak woda z wodospadu. Tak długo tkwiły w jej gardle, że ją dusiły.

Jego przystojna kiedyś twarz wykręciła się w przerażającym grymasie. Policzki zapłonęły żywą czerwienią. Żyłły na szyi nabrzmiały na kształt mapy topograficznej. Ale nie byli zamknięci w czterech ścianach przyczepy. Mieli widownię.

Były to cienkie pozory bezpieczeństwa, których Gloria uchwyciła się kurczowo.

Roześmiał się z powolnym, groźnym świstem.

— Pożalujesz tego i to bardzo.

Przeszył ją lodowaty dreszcz, który umiejscowił się niczym bryła lodu w jej sercu. Przeliczyła się. Zerknęła na Sophie za barem. Kobieta obserwowała ją uważnie. Skinęła w kierunku telefonu. Subtelny sygnał.

Gloria pokręciła lekko głową.

Nie. Musiała poradzić sobie sama. Przełamać się.

— Glenn. Mówię poważnie. Z nami koniec. Nie będziesz mnie dłużej krzywdził. Nigdy więcej. Jeśli spróbujesz to zrobić, wystąpię o sądowy zakaz zbliżania się.

W szkole średniej królował na boisku do koszykówki. Duży, nabuzowany, agresywny. Wywalczał wygraną za wygraną. Gloria myślała wtedy, że wygrywanie dodawało mu energii, było jak uwielbienie dla bohatera. Ale tak naprawdę chodziło o uwagę, o świadomość, że był kimś, z kim nie należy zadzierać. Że był mężczyzną. Szacunek przez zastraszenie. Tak jak to robił jego ojciec. Jego ojciec pił i bił żonę... do czasu przedwczesnej śmierci z powodu zawału serca w wieku czterdziestu pięciu lat. Podobnie Glenn pił i bił swoją dziewczynę. Bo tak robili mężczyźni.

Sięgnął nad stołem szybki jak wąż. Jego mięsista dłoń zacisnęła się boleśnie na jej ramieniu.

— Chodźmy uciąć sobie małą pogawędkę — powiedział uprzejmie. Ale w jego słowach kryła się groźba, owijała się wokół nich niczym trujący bluszcz wokół pnia drzewa.

Gloria spróbowała się wyrwać. Zawsze zaczynało się tak samo: jego dłoń zaciskała się wokół jej przedramienia i odcinała dopływ krwi. Ostatnie trzy miesiące były tak złe, że rany nigdy się nie goiły. Na siniakach pojawiały się kolejne siniaki.

— Przestań — wycodziła przez zęby, desperacko usiłując wyrwać rękę. Ale wyglądało to komicznie: jej drobna postać próbująca przeciwstawić się jego zwalistej sile.

Pociągnął ją w stronę drzwi jak psa.

— Może zapłacisz? — zawołał za nimi nerwowo Titus.

Glenn nie raczył odpowiedzieć, tylko pchnął drzwi wejściowe tak mocno, że odbiły się od pokrytej boazerią drewnianej ściany.

Gdy Glenn włókł Gorię w stronę swojego pickupa na tyłach parkingu, wrywała się, używając wszystkich swoich sił. Jej adidas-y szorowały o zwirowane podłoże i potykały się o nie.

— Puść mnie!

Rzucił nią o bok samochodu. Od uderzenia jej kręgosłup przeszył ból.

— Należysz do mnie, Glorio Parker. Nie masz prawa odejść. Nigdy.

— Ty mnie nawet nie kochasz — wykrzyczała mu prawdę prosto w twarz. On nie wiedział, co to miłość. Nie była pewna, czy sama to wiedziała.

— Nie muszę cię kochać. Jesteś moją własnością — syknął.

W jej głowie uruchomiły się wszystkie sygnały ostrzegawcze, które w sobie wykształciła, aby powiadamiały ją o zmianach jego nastroju, o zagrożeniu.

— Nie jestem — odpowiedziała. — Nie jestem twoją własnością. Musisz mnie puścić.

— Nic, kurwa, nie muszę — wybełkotał.

Zamaszysty cios ją zaskoczył, oszołomił. Otrząsnęła się po nim jak po tyłu innych i odepchnęła go. Musiała teraz walczyć jak nigdy wcześniej. Chodziło o jej życie.

— Ty głupia kurwo. Niewdzięczna dziwko — wyszeptał i złapał ją za włosy, a potem pociągnął tak, że wrzasnęła. Lubił, kiedy płakała. Lubił, kiedy była przerażona. Chciał, żeby wiedziała, że mógł zakończyć jej życie.

— Odchodzę od ciebie — powiedziała, szczękając zębami. Nigdy wcześniej nie bił jej w miejscu publicznym. Ale z drugiej strony nigdy wcześniej nie próbowała od niego odejść.

— Ostrzegalem cię! — To był ryk wściekłości, który poniósł się po parkingu.

Benevolence było miasteczkiem zamieszkałym przez dobrych ludzi, którzy ciężko pracowali i troszczyli się o sąsiadów. On był zakałą tego miejsca i był z tego dumny. Ale teraz nie było tu nikogo, kto by jej pomógł. Sama musiała się z nim zmierzyć. Do przyjazdu policji, którą najprawdopodobniej — dobry Boże, błagam — wezwała Sophie. Musiała tylko wytrzymać kilka minut.

Gloria naparła na jego pierś z całej siły, ale jego mięsiste dłonie zacisnęły się na jej rękach i potrząsnęły nią tak, że uderzyła tyłem głowy o okno pickupa. Z przygnębieniem uświadomiła sobie, że nie przetrwa kilku minut.

— Ej! — usłyszała czyjś głos. Kobieta. Jasne włosy.

Ale Glenn zasłaniał jej widok.

— Pilnuj własnych spraw, wścibsko dziwko.

— Glenn... — wydyszała Gloria.

— Nie chcę już tego słuchać! — powiedział. Z wściekłości jego twarz przybrała odcień wozu strażackiego. Złapał ją za gardło i uniósł nad ziemię.

Odciał jej dopływ powietrza. Gloria czuła narastające ciśnienie w głowie, widziała ciemność zakradającą się na obrzeża jej pola widzenia. Jej stopy zwiślały bezużytecznie kilka centymetrów nad ziemią. To nie mogło się skończyć w ten sposób. Jej życie nie mogło zostać odebrane jego brutalnymi rękami. Nie mogła stać się kolejną smutną cyferką w statystykach.

Z trudem sięgnęła do ręki zacisniętej wokół jej gardła. Wszystko zaczęło wokół niej szarzeć, gdy jej płuca domagały się boleśnie tlenu.

NARESZCIE MOJA

Ostatkiem sił zamachnęła się nogą i trafiła go w kontuzjowane kolano. W tym samym momencie mignęły jej przed oczami jasne włosy, a Glenn upuścił ją na ziemię. Przewróciła się bezładnie. Żwir wbił się jej w nogi, w bok, ale była zbyt zaabsorbowana nieskładnym wciąganiem powietrza, żeby się tym przejąć.

Gdzieś za nią doszło do kotłowaniny — rozlegały się krzyki i przekleństwa — ale wszystko wydawało się dobiegać z bardzo daleka. Przekręciła się na plecy i wbiła wzrok w wiosenny zachód słońca malujący niebo na różowo i pomarańczowo.

Nigdy więcej.

ROZDZIAŁ 2

Sztywny papier pokrywający leżankę w gabinecie zaszeleścił pod jej nogami. Było jej zimno w anonimowym fartuchu stworzonym z myślą o tym, by badanie było łatwe, bezosobowe. Zasłonka oddzielająca leżankę od drzwi została zrobiona z tego samego wytartego niebieskiego materiału. Na ścianie wisiał plakat, na którym znajdował się koszyk pełen szczeniaków rasy golden retriever. Niewinnych i radosnych. Z wystawionymi językami.

W tym momencie Gloria czuła się tak, jakby pojęcia niewinności i radości były jej zupełnie obce.

Pomyślała o swoim alter ego, o Glorii, Która Odeszła Od Glenna Zaraz Na Początku. W tej dokładnie chwili tamta dziewczyna spotykałaby się z przyjaciółmi na piwie — nie, na martini — w jakimś stylowym barze, o którym nikt nigdy nie słyszał, w mieście, w którym każdy chciałby mieszkać. Weszłaby z dumą do środka w butach, na widok których inne kobiety szeptałyby: „Nie wiem, jak ona to robi”. Zapłaciłaby za kolejkę drinków z własnych pieniędzy. Spędziłaby resztę wieczoru, śmiejąc się i tańcząc.

Ale ta Gloria? Znajdowała się w zupełnie innym miejscu.

Jej ciało było obolałe, ale ból wydawał się tępy, jakby daleki. Jakby należał do kogoś innego. Czuła się pusta, zimna. Nie miała poczucia zwycięstwa, dumy, której się spodziewała. Zrobiła to. Omal nie straciła przy tym życia. Ale odeszła od Glenna Dillera. A cenę zapłacili inni. Blondynka z parkingu straciła przytomność. Do bijatki włączył się Luke Garrison. A teraz miejscowa lekarka zmieniła swoje plany na wieczór, żeby zbadać posiniaczone i zmasakrowane ciało Glorii, oszczędzając jej kosztownej wyprawy na ostry dyżur. Zastanawiała się, czy jej wolność nie stała się już większym kłopotem, niż kiedykolwiek była nim przemoc, której doświadczała.

Dlaczego niczego nie czuła?

Drzwi do małego pomieszczenia otworzyły się i za zasłonkę wsunęła głowę doktor Dunnigan. Jej mocno poskręcane jasnorude włosy układały się niesfor- nie wokół skóry w kolorze kości słoniowej.

— Mam nadzieję, że to oznacza, że w końcu rzuciłeś tego drania.

Solidna i energiczna Trish Dunnigan miała zerową tolerancję dla głupców za wyjątkiem Glorii Parker, która od zawsze postępowała głupio. To ta lekarka robiła Glorii szczepienia przypominające w szkole podstawowej. I przez kilka ostatnich lat spotykała się z nią na parkingu przed sklepem spożywczym — jednym z niewielu miejsc, do których Glorii wolno było chodzić — gdzie ją badała i opatrywała jej rany.

Doktor Dunnigan była głosem nieoceniającego rozsądku, podczas gdy wszyscy inni się poddali albo zostali odstraszeni.

„On cię zabije. Robi się coraz gorszy. To podręcznikowy przykład kręgu przemocy. On cię zabije, Glorio. Niedługo”.

Powiedziała to tydzień wcześniej podczas nastawiania zwichniętego barku. Ale Gloria mimo to została. Za bardzo bolała ją myśl o odejściu. O zrobieniu czegokolwiek inaczej.

Ale wczoraj wieczorem wszystko się zmieniło.

To był tylko dzieciak, który razem z kolegami trochę za głośno puszczał muzykę w swoim pierwszym samochodzie o dwie przyczepy od nich. Ale dla Glenna to był powód, żeby zapozować. Wyciągnął chłopaka z samochodu, rzu- cił go na ziemię i zaczął mu wrzeszczeć prosto w twarz o spaniu, spokoju, ciszy i szacunku.

Upokarzanie. Na to stawiał. Gloria. Współpracownicy. Jego matka. Nie- znajomi, którzy obsługiwali go w restauracji lub oczekiwali zapłaty za świad- czone usługi. Na świecie byli ludzie, którzy nie potrafili poczuć, że coś znaczą, jeśli nie umniejszali wartości kogoś innego.

Odczłowieczył ją, zredukował tak, że w zasadzie przestała istnieć. A kiedy wczoraj wieczorem próbowała go powstrzymać, rzucił ją na ziemię obok chło- paka i splunął na nich oboje. Odebrał im obojgu sprawczość, człowieczeństwo, poczucie własnej wartości.

Zaczekał, aż pójdzie za nim do przyczepy, gdzie ją spoliczkował i popchnął na ziemię, wymierzając pojedynczego kopniaka. Ale ponieważ wyżył się wcze- śniej na dzieciaku, a ona mało go obchodziła, to usiadł na kanapie i wrócił do oglądania telewizji.

A dzisiaj Gloria spakowała swoje rzeczy, wyciągnęła niewielki plik banknotów schowany za złamaną listwą w przyczepie i odeszła od drania.

— To koniec — odpowiedziała drętwą Gloria.

Skupiona na pracy doktor Dunnigan sprawdziła jej puls i źrenice. Wyciągnęła stetoskop, a jej chłodne zielone oczy przesunęły się po miejscu wokół szyi, w którym — jak wiedziała Gloria — widniał naszyjnik z siniaków.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i odbiły od ściany, na chwilę zasłaniając koszyk ze szczeniakami. Do gabinetu wpadła Sara Parker, nadal w fartuchu fryzjerskim. Jak na kobietę niezbyt skłonną do dramatyzowania, miała imponujące wejście.

— O Boże, Glorio. *Córeczko!* — Gloria nie chciała widzieć litości w oczach matki. Nie chciała przyjąć do wiadomości, że jej ból ranił matkę równie mocno, jakby był jej własny. — Kiedy do mnie zadzwonili, myślałam, że cię zabił.

Słowa matki przebiły się przez mur odrętwienia i po zimnych, białych policzkach Glorii popłynęły gorące łzy.

— Przepraszam — szepnęła Gloria, gdy powitały ją chude, ale silne objęcia matki.

— Moja kruszynko. Rzuciłaś go? Czy to koniec? — zapytała Sara.

Gloria pokiwała głową.

— To koniec. Jest w więzieniu.

— Dobrze. — Sara zakłęła barwnie po hiszpańsku, a potem szybko zamknęła księgę złości. — Zamieszkaś ze mną. Przygotuję ci rosół.

— Moje torby już są u ciebie — wyznała Gloria z cieniem uśmiechu. Nawet po tylu latach separacji Gloria zawsze wiedziała, że może wrócić do domu. Gdy nie ma Glenna, jej matka będzie bezpieczna.

— Ekhm — chrząknęła doktor Dunnigan. — A teraz, jeśli pani pozwoli, pani Parker, chciałabym dokończyć badanie pacjentki.

Sara objęła dłońmi twarz Glorii.

— Witaj w domu, córeczko. Zaczekam na zewnątrz.

— Dziękuję, mamó.

Część chłodu w jej sercu się rozproszyła. Okruch strachu nieco przygaśł.

— Ojc — cmoknęła lekarka na widok boku Glorii, na którym żwir pozdzierał jej skórę. — Teraz boli. Ale zagoi się — oceniła.

Gloria miała nadzieję, że kobieta mówi zarówno o tym, co na zewnątrz, jak i wewnątrz. Bo w tej chwili nie była pewna, czy kiedykolwiek znów poczuje się

normalnie. Cholera, nie pamiętała nawet, co to znaczy normalność. Co ją czeka w przyszłości? Dziewczynę, która ledwie skończyła szkołę średnią, nigdy nie pracowała i oddała każdy przejaw szacunku do samej siebie potworowi? Czy było dla niej miejsce na tym świecie?

W milczeniu zniosła upokorzenie badania lekarskiego, tak znajome, w jakiś sposób znów ją odczłowieczające — redukujące do obrażeń, których mogłaby uniknąć, gdyby była wystarczająco silna. Żałowała, że tak nie było.

Palce doktor Dunnigan zaczęły stukać miarowo w laptop, uzupełniając kartę pacjentki.

— Zdjęcia — powiedziała, zerkając znad okularów do czytania. Wcześniej Gloria nigdy nie zgadzała się na propozycję lekarki, żeby udokumentować jej obrażenia. Nigdy nie powiedziała doktor Dunnigan, że dysponowała własnymi dowodami, trzymanymi w ukryciu. Każdy siniak, każde zwichnięcie, każde złamanie. Bywały dni, kiedy myślała, że nigdy tego nie wykorzysta, że nigdy nie odejdzie.

Ale odeszła.

— Co ja mam teraz zrobić? — Jej głos był zachrypnięty w równym stopniu z emocji, co z powodu brutalnych rąk Glenna.

— Nie musisz się martwić podejmowaniem decyzji ani dziś, ani w najbliższym czasie — odpowiedziała krótko doktor Dunnigan. Zamknęła laptop i otworzyła szufladę, z której wyciągnęła mały aparat cyfrowy. — Dziś podjęłaś najtrudniejszą decyzję. Teraz czas wyzdrowieć, odpocząć i przypomnieć sobie, kim jesteś bez niego.

Czy była kimkolwiek bez niego? Czy biedna mała Gloria Parker była kimkolwiek bez stygmatu ofiary przemocy? Czy w ogóle istniała jeszcze na tym świecie?

— Czuję się jak duch — wyznała cicho.

Doktor Dunnigan pomogła jej wstać.

— A mnie wydajesz się całkiem realna. Daj sobie czas na to, żeby dojść do siebie, mała. W środku będziesz goić się dużo dłużej niż na zewnątrz.

Gloria uniosła brodę, żeby lekarka mogła upamiętnić jaskrawe odciski palców na jej szyi, i zamknęła oczy, bo od ruchu zakręciło jej się w głowie.

Migawka aparatu kliknęła cicho.

— Dziś nie jesteś ofiarą. Dziś jesteś tą, która przetrwała.

ROZDZIAŁ 3

Poczuł, że jego nogi rozgrzewają się, gdy chodnik mrugał pod jego stopami. Mięśnie mruczały zmuszane do większego wysiłku. Benevolence w stanie Maryland, jego miasto od urodzenia, migало obok, podczas gdy on śigał się ze swoimi demonami. Przytulne domy przycupnęły na ładnych zielonych trawnikach przylegających do obsadzonych drzewami ulic.

Był kwiecień, a deszcz, który od tygodnia nie dawał im spokoju, w końcu ustąpił. Nastął przepiękny słoneczny dzień z temperaturą dwudziestu pięciu stopni. Aldo Moretta wymknął się z biura godzinę wcześniej, żeby wykorzystać pogodę na bieganie.

Uniósł dłoń, witając się z Carol Ann, która była w zaawansowanej ciąży i siedziała na podjeździe na rozkładanym krześle, podczas gdy jej tyczkowaty mąż Carl plewił rabatę od frontu. Carol Ann pomachała do niego palcami.

Było mnóstwo rzeczy, na które Aldo nie miał wpływu. Dlatego też bardzo dbał o te, na które miał. Jak własne ciało. Zamienił się w istną maszynę sportową, która przebiegała kilometr w trzy i pół minuty i wyciskała w przysiadzie sto czterdzieści kilogramów. Wykształcił w sobie siłę, szybkość i gotowość. Za cztery tygodnie wszystko to mu się przyda. Jego oddział Gwardii Narodowej wyjeżdżał na misję — jego czwartą.

Wybiegł zza zakrętu i wyciągnął z kieszeni ciasteczko w rytm podekscytowanego ujadania dobiegającego zza metrowego płotu wokół domu Peggy Sue Marsico. Beagle o imieniu Smiegel machał w szaleńczym tempie zakończonym na biało ogonem. Aldo rzucił mu smaczek i patrzył, jak Smiegel łapie go w powietrzu, furkocząc uszami w wyskoku godnym superpsa. Uśmiechnął się, gdy pies wyskoczył z dumą z paproci z nagrodą w pysku.

Z beżowo-niebieskim ranchem Peggy Sue sąsiedował dom Lincolna Reeda. Komendant straży pożarnej zamienił dawną stację benzynową w fantastyczną kawalerkę. Linc postawił sobie za cel w życiu uwieść każdą wolną

kobietę w promieniu trzech najbliższych hrabstw. Był czarującym, przyjacielskim związkofobem.

Linc był kapitalnym kompanem do zabawy. Wielka szkoda, że on i najlepszy przyjaciel Aldo, Luke, z najwyższym trudem znosili swoje towarzystwo.

— Co tam, Moretta? — zawołał Linc, unosząc piwo i oblewając swój samochód wodą z węża. — Chcesz browara?

— Może za kilka kilometrów — zawołał w odpowiedzi Aldo.

— No to wpadnij — powiedział Linc i skierował wąż na wdzięcznego mu za to Aldo, a potem znów się odwrócił do lśniącego pickupa.

Aldo pomachał i już go nie było. Dostroił się do swoich kroków, biegnąc wokół cmentarza. Nie patrzył na grób. Nie musiał. Za każdym razem, gdy mijał te łagodne zielone pagórki upstrzone białymi nagrobkami, pamiętał.

Lata, które dzieliły go od chwili, w której znalazł Luke'a zwiniętego w kłębek na grobie swojej żony, z leżącym obok pustym sześciopakiem, zniknęły. Znów trzymał swojego przyjaciela w ramionach, podczas gdy jego ciałem wstrząsał szloch, bo cierpienie, które w sobie tłumił, wytrysnęło na zewnątrz. Nigdy nie rozmawiali o tamtej chwili. Nie musieli. Byli braćmi, choć nie łączyły ich więzy krwi. Ratowali sobie na zmianę życie jak dzieciaki wymieniające się kartami z zawodnikami baseballa czy innym badziewiem z Pokemonami.

— Cześć, przystojniaku! — Valerie Washington miała siedemdziesiąt trzy lata, wyglądała na pięćdziesiąt, a zachowywała się jak osiemnastolatka. Pomachała do niego kieliszkiem z margaritą ze swojego ganku, na którym siedziała obłożona romansami i biografiami, świeżo upolowanymi w bibliotece.

— Kiedy się pani rozwiedzie i za mnie wyjdzie, pani Washington? — zapytał Aldo, biegnąc w miejscu i napinając na pokaz mięśnie.

Kobieta zsunęła z nosa za duże korekcyjne okulary przeciwsłoneczne i puściła do niego oko.

— Kiedy mój przerwany sobie radzić w łóżku — zawołała.

Aldo posłał jej w powietrzu buziaka i pobiegł dalej, w końcu wbiegając na ścieżkę wokół jeziora. W Benevolence powoli budziła się wiosna. Na gałęziach drzew rozwijały się zielone pączki, podczas gdy stopy wciąż pędziły po zeszłorocznych liściach. Początki i końca.

I nagle tak po prostu jego myśli powędrowały do Glorii Parker. Minął tydzień, odkąd wszystko się zmieniło. Tydzień męczarni. Pragnąć czegoś tak bardzo. Wiedzieć, że nie może tego mieć, że nie może się o to postarać. W zeszły

weekend uciekł z miasta pod pretekstem wyjazdu na ryby, żeby nie pojawić się przed domem jej matki i nie zacząć błagać o to, żeby się z nią zobaczyć. Zamiast tego przez bite czterdzieści osiem godzin chodził w tę i we w tę po domku letniskowym w Zachodniej Virginii i zajeżdżał się na śmierć na górskich szlakach. Chciał być tak wycieńczony, żeby nawet nie pomyśleć o tym, aby pakować się teraz do jej życia.

Nie. Potrzebowała czasu. Czasu dla siebie, czasu, żeby wyzdrowieć. Będzie cierpliwy. Tak jak od czasów ogólniaka. Poza tym Glenn może znów się pojawić. Może znów ją odzyskać. Aldo wiedział, że gdyby do tego doszło, nie umiałby się pohamować i musiałby się wtrącić.

Czuł na twarzy popołudniowe słońce, pot, który spływał mu po plecach, i po raz pierwszy w życiu wiązał nadzieje z cierpliwością.

— Jak dalej tak będziesz biegł, to się porzygasz. — Zastępca szeryfa Ty Adler, człowiek, który miał wyjątkową przyjemność aresztowania Glenna Dillera, dołączył do niego na rozstaju dróg. Miał na głowie czapkę z daszkiem z logo Wydziału Policji w Benevolence i koszulkę z Umiarkowanie Zimnego Morsowania.

— Jak leci, szeryfie?

— Świetnie. Świetnie — odparł przeciągle Ty.

Ty przeprowadził się do Benevolence w szkole średniej, zobaczył nastoletnią Sophie Garrison i zakochał się w niej na zabój. Dwa lata zajęło mu przekonanie jej do stałego związku, ale teraz byli szczęśliwi w gronie swojej małej trzyosobowej rodziny.

Aldo był gotowy na własne szczęście.

— Podobno w zeszłym tygodniu miałeś przygody — zaczął podpytywać Aldo, zwalniając do prędkości umożliwiającej swobodną rozmowę.

Ty był w dobrej formie, tyle że nie była to dobra forma w stylu Moretty.

— W końcu udało mi się wsadzić tego gnoja za kratki — odparł wesoło Ty. — To dla ciebie pewnie dobra wiadomość. — Aldo nie musiał zaglądać za okulary przeciwsłoneczne kumpla, aby wiedzieć, że tamten na niego patrzył.

— Najwyższa pora.

— Coś mi świta, że raz czy dwa razy braliście się za łby zaraz po szkole — zamyślił się Ty. W Benevolence mówiło się na to łowienie ryb.

Aldo zacisnęła pięści na to wspomnienie.

— Byliśmy wtedy dziećmi — odpowiedział wymijająco.

— I coś mi też świta, że po jednej z takich przepychanek upiłeś się w trzy dupy — przypomniał mu Ty.

— Masz doskonałą pamięć — zakpił Aldo, zwiększając tempo. Zamaskował uśmiech, gdy Ty zaczął rzeźzić, próbując dotrzymać mu kroku.

— Przestań, stary. Nie włączaj turbodopalanania.

— Daj mi ku temu jeden dobry powód.

— On już nie wyjdzie na wolność.

Aldo zatrzymał się, a Ty wpadł prosto na niego.

— Jezu, jak ty to robisz bez wody? — wysapał Ty, otwierając wymiętoszoną butelkę, którą trzymał w ręce. Zaczął łapczywie żłopać, a potem podał butelkę Aldo.

Aldo napił się i zaczekał, aż cholerny Ty przejdzie do rzeczy.

— W każdym razie, jak mówiłem, Diller się z tego nie wywinie. Zaatakował inną kobietę, która wściekla się wystarczająco, żeby wnieść oskarżenie. Nasza pani doktor będzie zeznawać. Luke też będzie świadkiem.

Aldo przełknął z trudem ślinę i zmusił palce, żeby rozluźniły zacisk na butelce.

— Gloria też wnosi oskarżenie — ciągnął Ty. — Okazuje się, że ma zdjęcia wszystkich obrażeń z ostatnich kilku lat.

Butelka nie miała szans. Woda wytrysnęła na jego palce obejmujące plastik w śmiertelnym uścisku. *Wszystkich obrażeń z ostatnich kilku lat...*

Gdzie on się, kurwa, podziwiał? Dlaczego tego nie powstrzymał?

— Ej, stary. Nie musisz jej marnować — zasmucił się spragniony Ty, wskazując na wodę.

— Jak ona się czuje? — zapytał Aldo ochrypłym głosem.

Ty poklepał go po ramieniu. Nigdy nie rozmawiali o tym, co Aldo czuł do Glorii. Cholera, nikt tak naprawdę nie wiedział, że w grę wchodziły jakiekolwiek uczucia. Ale Ty był bystrzejszy, niż wskazywałby na to jego południowy leniwy akcent.

— Dobrze. Naprawdę dobrze. Wpadłem do niej wczoraj. Glenn nie wyjdzie za kaucją. Jego matka nie może nic za niego wyłożyć, a sędzina nie była do niego zbyt przyjaźnie nastawiona po tym, jak w trakcie stawiania zarzutów nazwał ją głupią suką. A więc o ile sam nie wybuli dwustu tysięcy dolców, będzie gnił w celi do czasu rozprawy.

— Skurwiel — zaklął cicho Aldo.

— Ale Gloria ma się dobrze. Tym razem jest inaczej — zawyrokował Ty. Zaklinając się na wszystko, co dobre i prawe na tym świecie, Aldo miał szczerą nadzieję, że jego kumpel miał rację. Ani on, ani Gloria nie przeżyliby kolejnej rundy.

Aldo wbiegł po kamiennych stopniach ganku swojego domu w stylu rzemieślniczym i otworzył siatkowe drzwi. Spocony, spragniony i z dużo większym przyływem nadziei niż wcześniej przeszedł sprężystym krokiem przez korytarz do kuchni na tyłach domu. Nalał sobie do szklanki wody z kranu, wyciągnął z lodówki piwo i wrócił na ganek. Klapnął na krzesło, które nie rozpuścił się pod wpływem jego potu, i oparł stopy o poręcz.

Pomyślał o Luke’u i o plotkach głoszących, że jego wiodący samotnicze życie brat z wyboru mieszkał z nieznajomą kobietą. Z nieznajomą, która przyczyniła się do powalenia agresywnego gnoja Glorii. Musiał z nim pogadać, sprawdzić, co słychać. Dowiedzieć się, czy Luke doznał urazu głowy i czy nie zaprosił przypadkiem do domu psychopatki. Lub może czy zdarzył się cud i jego przyjaciel w końcu zaczął wychodzić z żałoby.

W tym tygodniu pozwolił sobie na zajmowanie się głównie własnym bałaganem. Czas znów zameldować się w rzeczywistości.

Wokół rozlegały się ciche odgłosy sąsiedzkiego życia. Krztuszenie się uruchamianej kosiarki Pauletty. Błagania dzieciaków Roberty Shawn o lizaki.

Kupił ten dom dwa lata temu i w przeciwieństwie do swojego przyjaciela Luke’a, który żył przeszłością, od razu zaczął remont. Naprawiał, malował i przestawiał, aż pięciopokojowy dom był gotowy. Wierzył. Aldo Moretta czekał na uśmiech losu. Wierzył.

Był gotowy rozpocząć resztę swojego życia. Chciał mieć żonę, rodzinę, grilla w ogródku. Chciał, żeby dzieci sąsiadów bawiły się w podchody na tyłach jego domu. I chciał tego wszystkiego bez wyjątku z Glorią Parker.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Jak mocno można kochać w małym Benevolence?

Aldo Moretta był bohaterem. Odwagi z pewnością mu nie brakowało. Nie tylko stworzył w swoim mieście świetnie prosperującą firmę i zadbał o rodzinę i przyjaciół, ale także walczył z bronią w ręku za ojczyznę. Za to był gotów oddać życie. Los jednak zażądał od niego większej ofiary. Z ostatniej misji wojskowej Aldo wrócił do domu złamany i okaleczony. Udało mu się jakoś pozbierać, powoli wracał do życia. I tylko wciąż był samotny.

Gloria Parker o mało nie zginęła z powodu... miłości. Glenn Diller pił, bił i upajał się jej bólem. Wyrwanie się z tego koszmarnego związku było dla dziewczyny ostatnią szansą. W końcu jej się udało, mogła powoli odbudowywać swoje życie. Krok po kroku starała się odzyskiwać godność. Nie mogła jednak zapomnieć dziesięcioletniego pasma cierpienia i upokorzeń, wstyd nie opuszczał jej ani na chwilę. I wciąż była sama.

W małym mieście, takim jak Benevolence, ludzie się znają i wiedzą o sobie wszystko. Być może niektórzy widzieli, że dla Aldo Gloria była kimś wyjątkowym, a ona sama widziała w nim kogoś, komu może zaufać. Tyle że on był okaleczonym bohaterem, ona zaś — nieszczęśliwą ofiarą. On nie wiedział, czy jeszcze jest godny prawdziwej miłości, ona nie miała pewności, czy potrafi znowu się zakochać. Każde z nich pozostawiło za sobą straszną przeszłość, ale oboje pragnęli zaznać szczęścia. Razem.

Tylko jak uleczyć swoje rany i uwierzyć, że prawdziwa miłość naprawdę istnieje?

